

# BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

13

— Uniżony pana pułkownika! Honorowa sprawa niewoli umie go niepokoić! Honorowa, panie pułkowniku...

— Do mnie?

— Tak, w poselstwie od Adasia. Od Gurowskiego. Szlachetna cudzych win niepamięć. Dług honorowy jest atoli świętym godności rycerskiej obowiązkiem.

— Racz pan wyrażniej...

Małe oczka Krępowickiego rozśmiały się szyderczo pod niskim, zarosłem na poły czołem.

— Złotko niosę panu pułkownikowi, jako szczęsnemu fortuny dziecięciu. Nigdy go nie zawieje! Proszę, oto parolu solenne dotrzymanie...

Bem zęby zacisnął. Krępowicki świdrował go swem beczelnym spojrzeniem, sianiał się w ukłonach a drwił oczywiście.

— Służę, dwa ruloniki, bite dukacikami. Jakby w faraona grał. Z pod serca sercem dobyte — ale parol nieskazitelnie techcący pieściwie ocalon. Więc z rączki do rączki — zechciej odebrać, panie pułkowniku...

— Proszę zostawić na stole.

— Akkomoduję się posłusznie do górnego nicości kruszcu traktowania... Jednakże śmiem przymówić się o policzenie, bo możeby do pełności honoru demokratycznego brakło obrzezańca.

— Nie trzeba liczenia.

— Upoważnia mnie pan pułkownik do pokwitowania solennego?

— Tak, imć Gurowskiego! — Zegnam pana.

— Mam wielki zaszczyt...

Bem trzasnął ze złością drzwiami za Krępowickim.

Zanim pułkownik zdołał ochłonić ze wzburzenia, którym go napełniły odwiedziny kamrata Gurowskiego, u drzwi wchodowych rozległ się ponownie lekki, nieśmiały chrobot, zapowiadający nowego gościa. Bem tym razem nie myślał otwierać. Zadość miał wizyt. Południe szło. Chciał jeszcze do sztabu dywizji zdążyć i posilić się po drodze i na spotkanie się z Sikorskim nie opóźnić i przed zachodem, na Pradze, w baterii być.

Nie turbując się o chrobotanie u drzwi, uporządkował uniform, szpadę zasadził i ujął za furazerkę. Lecz tu, wspomniawszy na swą pustą sakiewkę, nie bez odrazy sięgnął po jeden z przyniesionych przez Krępowickiego rulonów i rozwinął go na dłoni. Z rulonu wysunął się na czele dobrze mu znany, jego własny kulfon, który mu wczoraj tyle wygranej przyczynił, a który rzucił wraz z innymi Honoratce za wino...

Bem uważnie obejrzał papier, owijający dukaty. Był to papier ten sam, z „Kuryera Polskiego”, którym uraczył go Sikorski. I między dukatami znajdował się i holenderski Filialskiego i „Król Staś” majora Boskiego z nadpilowanym brzeżkiem. Były to bezwzględnie jego własne, przezeń zawiązane ruloniki. Z tą różnicą, że nie dostawało do całej sumki... ośmiu...

Pułkownik musiał zażyć całego wysiłku woli, aby się nie poddać gorzkim myślom, które nań wraz z tem wykryciem spadły, aby otrząsnąć się, wydrzeć się rozterce, co mu jad chciała sączyć znów do mózgu, aby ruszyć ku wyjściu, aby nie ułknąć się ludzi, przestworu, błękitów nieba, słońca.

Mroczna sień powitała Bema przeciągłym szurgnięciem. Pułkownik, nie zważając, przekreślił kluczowe drzwi swego mieszkania i ku schodom zmierzzał, gdy tuż w odblaskach, bijącego z góry światła, zaskrzyta się blacha czapy artyleryjskiej.

— Co tu? Kto?

— Dziurbacki.

— A, i cóż acan powiesz?

— Przychodzę według łaskowości pana pułkownika.

— Mów, widzisz, że nie mam czasu.

Profos czegoś się zachłysnął.

— Chciałem, mosanie...

— Zezwolenia na trzy dni! Bierz, ile ci tam serce dyktuje. Zbyteczne ceregiele. Nikt się acanu dziwować nie będzie... Zapowiem raz jeszcze! — Tinni twoich lat dawno na weteranństwie siedzą. Bywaj mi jegomość, bywaj!

Dziurbacki nie ruszał się z miejsca. Bem zniecierpliwiał się.

— Więc czegoż jeszcze! Złot będzie jutro.

— Kiedy ja, aby według tej smarkuli. Bo tak, proszę pułkownika, mnie nic do niej, a przecież ni-jak. Wola pułkownika była dać ją na opiekę, żeby się toto w kordegardzie nie zmarnowało. Juści co pułkownik rozkaże, tego profosowi nie odkazać. Więc ja, aby się przepytać, gdzie opieki zażywa, aby ją użyc małowiele... bo zawsze w konnej artylerii się wysforowała...

Pułkownik teraz dopiero wątek próby Dziurbackiego pojął.

— Idzie ci o znajdę. Szukaj wiatru w polu!

Bem w kilku słowach odpowiedział Dziurbackiemu o ucieczce cyganiuchy od pani Marchockiej.

Profos atoli odparł z przekonaniem.

— To nie może być, proszę pułkownika.

— Jakto, nie może być — słyszysz waćpan, co ci mówię. Nie tylko, że umknęła, ale i okradła do brodziejkę...

— Ja też według tego. Że poszła w świat, nie dziwno mi. Staszek takó pacholikiem „ucikł”, bo do bębienia smarkulowi było pilno, ale co żeby cudzego tknął... tylego obyczaju między Kurpiami ani dudę, proszę pułkownika.

Bem, dla roztargnienia, jeno wątek myśli profosa chwycił.

— I mnie samemu nie wyglądało na to. Trusia, niby trzech zliczyć nie umiała. Głupia, niemiła historyja. Niewiadomo, jak nawet ekskuzę ułożyć... Tak, tak, mój Dziurbasiu, nie udało nam się z dobrem sercem, nie udało...

Bem przy tych słowach, uważając sprawę za skończoną, jął schodzić na dół, po schodach. Profos ruszył tuż za pułkownikiem.

Przy wyjściu z sieni na ulicę, Bem dodał na pożegnanie sentencyonalnie:

— Za twoje myto, jeszcze cię obito. Takie czasy nastały, mój Dziurbasiu, takie czasy...

I, nie czekając na odpowiedź profosa, skreślił w bok, ku królowi Zygmuntowi, układając sobie, że najpierw mu do Jaworskiego, na Stare Miasto, dla posilenia się wstąpić należy.

Aliści, gdy po chwili miał się pułkownik wziąć w lewo placu Zamkowego, dojrzał idącego za sobą krok w krok profosa.

— A waćpan czego jeszcze?

— Według tej...

— Powiedziałem ci przecież!...

— Więc jakże będzie, proszę pułkownika?

Bem, choć zwyczajny dziwactw starego i jego uprzykrzości, obruszył się.

— Cóż ma być. Z pod ziemi ci tego ananasa nie dobędę, choć rad bym na ratuszu dać nauczkę szelmie!

— Trzebaby szukać, mosanie!

— Gdzie — jak?! Bajesz acan.

— Trzeba szukać — musi się znaleźć.

— Więc jej sobie szukaj! — oburknął się Bem. Mnie nic do tego. Zadość mam tej sprawy!

Dziurbacki na tę ostrą konkluzję, poprawił z flegmą.

— Musi, proszę pułkownika, się znaleźć.

— Niechże się acanowi znajduje — a teraz zostawaj z Bogiem.

— Uważam, aby najpierw pan pułkownik te papiery zobaczy... Niby według tej...

Bem już miał zekpać profosa, lecz spojrzawszy na jego suche, zwiędłe oblicze, na postać chylącą się ku ziemi — wziął odeń z przymusem zwitek, rozpostarł i poniósł ociężale do oczu.

— Zawzięłeś się, mój Dziurbasiu, aby mi dokuczyć! Papiery!... Pisma... czy...

Bem urwał nagle i baczniej wpatrzył się w pierwszy papier.

— Co to? Skąd?

— Według małej.

— Ależ, ależ to niepodobna! Czekaj, chodź ze mną tu, obok, do gospody! — Chodź!

Bem skreślił żwawo ku Święto-Jańskiej, na Stare Miasto i tu, w ustronnej izdebce, w garkuchni imć pana Jaworskiego się usadowiwszy, nad kubkiem piwa grzanego zabrał się do ponownego wertowania papierów a właściwie jednego zawitego listu, który był dołączony do trzech innych zapieczętowanych.

Pułkownik odczytał raz i drugi list, po kilkakroć obejrzał adresy na listach i jeszcze zebrać myśli nie mógł, jeszcze ogarnąć przedmiotu.

List ten bowiem, pisany do jakiegoś Cher Stanislas, krom polecenia, aby listy, adresowane do pani Bażanow i „mademoiselle” de Sałacka, były doręczone Lesłowi, a list do generała Skrzyneckiego wymyślnie, między jego papiery wsunięty, zawierał bardzo drobiazgową instrukcję działania. W instrukcji tej była mowa, że na wszelki wypadek, należy przygotowywać dalej zniechęcenie przeciwko Skrzy-

neckiemu, bo choć jest nadzieja, iż uda się go pozyskać, ale na nadziei poprzestawać nie wolno; że wogóle wpływanie na powiększanie zamętu wewnętrznego jest nieodzownie potrzebne; że generał Rożniecki odebrał solenne zapewnienie, iż wielu dygnitarzów z upragnieniem powitałoby zawieszenie kroków wojennych, iż należy skłaniać ich do coraz szerszego wypowiedzania się, że raport ostatni był niedokładnym i spóźnionym, bo dzięki niemu. Chłapowski zdołał wymknąć się na Litwę; że komplety pisemek, bodaj ulotnych, należy z dnia na dzień zbierać i wysyłać; że większa zapomoga udzielona jest i w wiadomy sposób będzie wypłaconą...

Bem urwał nagle czytanie i zagadnął Dziurbackiego, skąd miał te papiery.

Profos, który przy sąsiednim stole raczył się najspokojniej piwem, otarł zmoczonych wąsów i odrzekł, zezując ku oknu.

— Ano u małej — w gałganach. Dobrze mówię; w gałganach, co je nosiła, były zaszyte. Nie ochapiał mi się zrazu aż dopiero dziś, patrząc tłumoczką, znalazłem... i że okulary mi się zawieszyły do Zarzyckiego, by mi poczytał...

— Tam do licha, a to zgola ni-potrzebne!

— I ja sobie tak kalkulowałem, ale po niewczasie! Bo odrazu mi się widziało, że trzeba do pana pułkownika z raportem i po małą na spytki. Dziecko jest, zwyczajnie jak dziecko, niewinne, ale coś wiedzieć musi.

— I bodaj wiele bardzo!

Profos mlasnął z zadowoleniem.

— Owóż dlaczego chodziło mi, że jej trzeba szukać.

— Zapewne, zapewne! Więc najpierw ani słowa nikomu o papierach, Zarzyckiemu odemnie przykaż, by nie pisał o tem. Sprawa niezmiernie ważna. Kto wie, kto wie, co z niej może wyniknąć!

— Gdybym wiedział, proszę pułkownika, dokąd wczoraj małą zawieziono?...

Bem wsunął papiery za mundur i nie odpowiadając profosowi, podniósł się i zapłaciwszy za piwo, do wyjścia się zbierał.

— Gdybym wiedział! — naprzykrzył się śmiejąc Dziurbacki.

Bem potrzęsnał głową w zamyśleniu.

— Muie pozostaw. Nic tu nie poradysz. Nie twoja rzecz i nie moja nawet. Bywaj!

Profos, nie tracąc rezonu, chciał jeszcze o swoje przystawać, lecz nie zdołał, bo pułkownik odprawił go stanowczym skinieniem. Dziurbacki się zaperzył, ale Bem, nie turbując się oń więcej, ruszył żwawo z garkuchni, wskoczył do stojącej w pobliżu dorozki i kazał się wieść do pałacu pod Blachą.

Pułkownika chłoneła jedna jedyna myśl, by do wodza naczelnego coprędzej dotrzeć, by zbyć się coprędzej tych strasznych dokumentów, co go paliły, dreszczem przejmowały. Skrzynecki ma władzę, ma moc i zresztą taki jego, pułkownicki, obowiązek. Nic mu do nikogo więcej. Raportuje, doręcza papiery i koniec.

Bemowi mignęła się wykrzywiona twarz Krępowickiego.

Pułkownika dreszcz przejął. Dokumenty przypomniaty mu paszkwił, który mu Gurowski podsúwał w „Honoratce”...

Paszkwił?

O tych pisaniami nikt, nikt zgola wiedzieć nie powinien! Grom, grom nieubłagany musi z nich uderzyć i dosięgnąć winnych i grom tak miażdżący, tak nieubłagany, aby zniszczył, stopił wszelki ślad swego poczęcia.

Dorozka, wioząca pułkownika, zaturkotała hałaśliwie po zalanym słońcem podwórku i zatrzymała się.

Bem, nie zważając na pustkę i ciszę, którą wiała siedziba naczelnego wodza, ruszył do głównego wejścia.

Jakiś famulus w jaskrawej czamarze zbył go od proga zapowiedzią, że generał wyjechał z Warszawy i że, jeżeli pułkownik ma co pilnego, to niech się uda albo do adjutanta w oficynie na lewo, albo do naczelnika sztabu głównego niech się melduje.

Bem zafrasował się, lecz po namyśle, do adjutanta się opowiedział. Ale i tu nie łatwo mu poszło. Adjutant, kapitan Działyński, kończył był właśnie zbieranie się do drogi i ledwie po ostrem starciu pułkownika z ordynansem, wyszedł do Bema i tylko dla dania mu wyraźniejszej odprawy.

— Pan pułkownik raczy uwzględnić, konie na mnie czekają. Rozkaz! Żadnych raportów nie mam prawa...

— Zechciej, kapitanie, rzucić tylko okiem na te oto papiery!...

— Wodza zastępuje naczelnik sztabu głównego.

— Ale nie w tym wypadku.

— W każdym. Wódz generał jest w Modlinie...